

# KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

**ARTUR GRUSZECKI.**

1

Wiosna. Jasne promienie słońca porannego rozświetliły zmęczone mury starych kamienic, skrzęta się na chropowatym tynku, odsłaniając brutalnie nagą, brudną - czerwoną cegłę, spłowiła na deszczach i śniegach. błyszczą w szybach okien, zaglądając do mieszkań ludzkich. Żwawe wróble zwołują się ćwierkaniem, sfruwają, przysiadają, płacząc się pomiędzy przechodniami.



Na rogu ulicy ob-szarpany, mizerny chłopak, trzymając w ręku brudny, obtłuszczony talerz, wykrzyknie co chwila:

— Fijiołki! Fijiołki! — ze szczególnym akcentem zachęty, a biorąc w brudne palce maleńkie bukieciki, podsuwa je lepiej uhranym przechodniom.

Z bramy kamienicy, wąskiej, wysokiej, zaniedbanej, wyszła dziewczyna, zaróżowiona sztykiem schodzeniem po stromych schodach oficyny. Uśmiechnęła się na widok rozjaśnionej ulicy, zgrabnym ruchem ręki poprawiła obfite ciemno-blond włosy, wysuwające się z pod lekkiego, słomkowego kapelusza, i podgiawszy świeżą, perkalową sukienkę granatową w białe paski, poczęła iść szybko ulicą.

Dojrzał ją chłopak, sprzedający kwiaty i podbiegł podając bukiecik:

— Fijiołki! Świeże! Majowe!

Poczuła delikatny zapach kwiatków, które jak się jej zdawało, z brudnych rąk chłopca spoglądały na nią litośnie.

Zawahała się. Szybko obliczyła posiadane pieniądze. Miała jeszcze 60 halerzy, a dziś dopiero 16 maja, jeszcze tak daleko do 1 czerwca, do pobrania pensji. Przezorność nakazywała jej powstrzymanie się od zbyt kosztownego wydatku... ale fijiołki pachły tak mile, tak słodko i wiośniały wobec zaduchu ulicy, że szybko sięgnęła do kieszeni, pytając ile?

— Dziesięć halerzy!... Bardzo tanio...

— Dam sześć.

— Tylko dla pani — uśmiechnął i wręczył jej bukiecik.

Wzięła i idąc dalej ulicą, rozkoszowała się zapachem, muskała ustami delikatne kwiatki i mimowolnie opanowywało ją pragnienie ujrzenia łąki, drzew, gaju, gdzie kwitną fijiołki, niezapominajki, stokrocie, sasanki, gdzie lśnią w słońcu delikatne liście, śpiewają ptaki, brzęczą owady...

I ani się spostrzegła, gdy stanęła przed szerokimi drzwiami, prowadzącymi wprost z ulicy na schody budynku dyrekcji kolei.

Przed klatką schodową, zasłoniętą szklanymi drzwiami, stał w mundurze poważny portyer, w całym poczuciu swej godności. Przelotnie spojrzawszy na wchodzącą manipulantkę, nie ruszając się z miejsca skinął głową protekcyjnie i znów bezmyślnie patrzył na rozświetloną ulicę, przez którą spieszyły dorożki, ciągnęły furmanki podmiejskie, przesuwały się służące z koszykami i żydzi w długich, ciemnych chałatach.

Po szerokich, wygodnych schodach wbiegła na pierwsze piętro i w długim, jasnym korytarzu dojrzała kilku urzędników, idących pospiesznie do swych biur. Przemknęło jej w myśli, że może się spóźniła, przyspieszyła więc kroku wchodząc na drugie piętro i niechcący zawadziła bucikiem o wystającą skówkę, służącą do przytrzymywania nieistniejącego chodnika.

Z troskliwością wielką spojrzała na bucik, a na jej ładnej, wrażliwej twarzy odbiła się obawa. Istotnie na skórze bucika, tuż obok małego palca lewej nogi, widniała biaława rysa. Dotknęła się jej białym, delikatnym palcem, westchnęła głęboko, nie miała jednak czasu dłużej się smucić, gdyż tuż obok zabrzmiał właśnie głos jednego z kolegów:

— Dzień dobry pani.

Szykko opuściła sukienkę, zarumieniona odpowiedziała na pozdrowienie i pobięła w górę.

Na długim, wąskim korytarzu wychodziły liczne drzwi biur poszczególnych. Otworzyła jedno z nich i weszła do pokoju niemal kwadratowego, oświe-

tlonego jednym oknem. Owionęło ją stęchłe, duszne powietrze, przesieknięte kwaskowatą wonią świeżych tektur, starego dymu tytoniowego i kurzu po niedawnym zamiataniu.

Pokój był umeblowany trzema stołami, stojącymi równolegle, zwróconymi krótszymi bokami ku oknu. Przy jednym z nich siedział niemłody, łysawy brunet, z twarzą żółtawą, zmęczoną. Słyszając otwierające się drzwi, spojrzawszy z gryźliwie w tę stronę, zmarszczył krzaczaste brwi, poprawił czarny, bufiasty rękaw, chroniący prawą rękę od powalania pyłem lub atramentem i rzekł z goryczą:

— Wiedziałem, że to pani... tamten brukotłuk zawsze się spażnia — i zajął się pisaniem.

W odpowiedzi usłyszał uprzejme słowa:

— Dzień dobry panu — na co skinął głową obojętnie.

Ona starannie wytarła krzesło chusteczką, położyła obok na aktach bukietek fijiołków i z półki przytwierdzonej do stolika, zdjęła plik papierów.

Zaczęła wpisywać cyfry frachtów, oddanych na stacyi, lecz mimo usiłowań skupienia uwagi, drażniła ją duszna atmosfera pokoju, zwłaszcza że od czasu do czasu przy nachylaniu się, zalatywał do niej zapach fijiołków i złączone z tem wspomnienia słońca, łąk, świeżości. Siedzący przed nią, przy swym stoliku kolega, zapalił tanie cygaro, a duszący dym napływał ku niej. Tego było jej za dużo; wstała i otworzyła okno. Świeży powiew powietrza napełnił pokój.

Starszy kolega Marcin Borski, na stuk otwieranego okna podniósł głowę nachyloną, spojrzawszy drwiąco na manipulantkę Janinę Trawecką, wypuścił wielki kłęb dymu i zaczął ze szaleństwem odwracać papiery, a znalazłszy poszukiwany akt zaczął pisać. Wśród ciszy pokoju słychać było przytłumiony turkot dorożek, świergot jaskółek i wróbli, a na korytarzu przyspieszone kroki urzędników. Po dobrej chwili drzwi otwarły się z łoskotem i na progu w kapeluszu, w szczelnie zapiętym paltocie wiosennym, stanął przełożony Jan Rammer, naczelnik grupy.

Spojrzał surowo z poza okularów na siedzących, a widząc trzeci stół pusty, zmarszczył się i na jego zwiędłej, schorowanej twarzy zarysowało się niezadowolenie. Nie wchodząc do biura spytał z gryźliwym głosem:

— Gdzie pan Wilmański?

W tem wzrok jego padł na otwarte okno. Szybko więc przymknął drzwi za sobą i zawołał gniewnie:

— Kto otworzył? — wskazał parasolem okno — proszę zamknąć!

Trawecką zaczerwienioną, wstała szybko z krzesła, mówiąc na swe usprawiedliwienie:

— Sądziłam... taka pogoda, a tu duszno...

— Co pani sądziła nie wiem... a tu biuro... zachciewa się komu salonów, niech idzie tam...

Przypatrywał się badawczo, czy okno dobrze zamyka, rzucił okiem na jej stolik, a widząc fijiołki uśmiechnął się wzgardliwie, wzruszył ramionami, cedząc przez zęby:

— Taka to robota... — i poszedł do przybocznego pokoju, do swego biura.

W pokoju tym, prócz biurka, stała szafa, kilka krzeseł i wieszadło na rzeczy. Powiesił kapelusz, a rozpiawszy palto, rozbierał się postępując cicho, gdyż w czasie piętnastoletniej służby w ruchu, po różnych stacyach, nabawił się reumatyzmu, który mu od czasu do czasu dokuczał. Wzburzony otwarciem okna w przyległym pokoju, w przecuciu możliwych bólów, roztarł kolana i uda. Gniewny, poprawiając opadające okulary, podszedł do okna, sprawdził zamknięcie i z westchnieniem usiadł przy biurku. Przeglądał odrobione „kawałki“, a spostrzegłszy na jednym arkuszu kleks atramentowy, wstał i stając w drzwiach, rzekł surowo:

— Panie Borski... raz na zawsze mówiłem, żadnych kleksów, plam, poprawek... rozumiesz pan?

Upomniany podniósł na niego zmęczone oczy i powstrzymując uśmiech złośliwy, usprawiedliwiał się:

— Panie naczelniku, to wina atramentu, mówiłem już o tem.

— Atrament jest dobry, cała dyrekcja go używa, to nieuwaga pana.

— To zapewne we wszystkich biurach robią kleksy.

— Nic mnie nie obchodzą inne biura, tylko moje... proszę uważać.

— Dobrze... a swoją drogą atrament...

— Dość tego!... żebym panu dał złoty atrament, nic nie pomoże, bo pan masz ciężką rękę.

— Z winy kolei — odmruknął i chmurny wziął się do roboty.

— Kolej... kolej — drwił przełożony — ale z jej łaski masz pan kawałek chleba.

— Gorzkiego — rzekł półgłosem.

Pan naczelnik miał właśnie rozpocząć naukę moralną o dobrodziejstwie kolei, gdy cicho uchyliły się drzwi od kurytarza i ukazała się twarz młodego szatyna.

— A... witam pana Wilmańskiego — zawołał z ironią przełożony — proszę bliżej... już wpół do dziesiątej — spojrzawszy na złoty zegarek — czy pan Wilmański nie wie, jakie są godziny urzędowe? I ja, przełożony, mam czekać na łaskawe zjawienie się pana?

Wilmański przez czas tej przemowy ustawiał swą laseczkę, wieszał kapelusz i schylając lekko głowę ze starannie rozczesanymi włosami, odpowiedział śmiało:

— Pan inspektor wezwał mnie w sprawie chóru kolejarskiego.

— Śpiewaniem nie odrobisz pan swych zaległości — spojrzawszy w stronę stolika pełnego papierów.

— Pan inspektor kazał, byłem posłuszny — znów skłonił głowę.

— Otóż robota — mruknął gniewnie pan naczelnik wracając do siebie.

Wilmański usiadł i z wielkim hałasem jął porządkować papiery mrużąc:

— Zawsze nawali mi tyle... wszystko na mnie... tego za wiele...

Gdy jako tako uprzątnął stół, wyjął pęk błyszczących kluczyków, jednym z nich otworzył szufladę, wyjął lusterko ręczne i starannie zaczął się przyglądać swej bladawej, trochę zlampartowanej twarzy; delikatnie przycisnął nastawione w górę wąsiki, a następnie czyścił paznokcie, co skończywszy rozłożył papiery i niedbale z miną znudzoną wziął się do roboty. Po chwili wyjął papierosa i poszedł po zapalki do Borskiego. Na stoliku środkowym Traweckiej dojrzał fijiołki. Zbliżył się, wziął bukiecik, powąchał i robiąc słodkie oczy, rzekł przyciszonym głosem z udaną czułością:

— Co za rozkoszny kwiatusek... zwiędnie tu w zaduchu, jakże mi go żal...

Udała, że nie słyszy i pochyliwszy się, zajęła się pracą.

— Pozwoli pani, że dam im wody — a nie czekając odpowiedzi, wrócił do swego stołu i wyszukał flakonik z perfum w szufladzie.

— Jeszcze wody... i dobrze im będzie — uśmiechnął się.

W cichym pokoju, mimo przyciszonego głosu, słychać było rozmowę. Pierwszy poruszył się na krześle Borski i spojrzawszy zjadliwie, a po chwili odezwało się ostrzegające krzanie pana naczelnika z przyległego pokoju. Wilmański nie zważał na to, poszedł na kurytarz i z umieszczonego tamże kranu wodociagowego, nalał wody. Wróciwszy, postawił flakonik z fijiołkami na stoliku i zwracając się do siedzącej, spytał:

— Czy dobrze teraz.

— Dziękuję — odpowiedziała suchym głosem.

— Prosiłbym o zapalki — rzekł do Borskiego, który właśnie sumował.

— Przerwał mi pan — mruknął niechętnie — leżą przecież na stole.

— Nie śmiałem bez pozwolenia — uśmiechnął się ironicznie.

— Pannom zawracaj pan głowę — spojrzawszy na stolik Traweckiej — bierz pan...

— I idź do dybła — zaśmiał się Wilmański zapalając papierosa.

— Tego nie powiedziałem, ale...

— Chciałem — dodał młody ze śmiechem.

— Ale przerwał mi pan i całą kolumnę muszę przerobić.

Znów chrząknął pan naczelnik, a Borski mruknął niechętnie:

— Chyba reumatyzm ma w gardle.

— To wyborne — śmiał się Wilmański i poszedł do swego stołu.

W jakiś czas wyszedł ze swego pokoju przełożony, w zapiętej marynarce, z nastawionym kołnierzem, w kapeluszu, trzymając w ręku szklanek i skierował się na kurytarz.

Gdy drzwi się zamknęły, odezwał się Wilmański:

— To pierwsza dawka pigulek.

— Sam się truje... ze strachu — dodał Borski — za dobrze mu jest, to wyszukuje sobie chorobę... Gdyby on był w mojej skórze — westchnął.

— A cóż panu? — spytała Trawecką.

— Mnie? — spojrzawszy badawczo — horuje na żołądki żony i czworga dzieci.